5'000



Tu drukują »Nasze Życie«

NASZE ŻYCIE

NUMER 7-8 LIPIEC-SIERPIEŃ ROK 1937

Ks. Markiewicz o posłannictwie Polski.

Zwrot ku zasadom chrześcijańskim nastąpi na całej linii, skoro narody ujrzą potoki łez i krwi, gromady sierót opuszczonych i zubożenie powszechne, — do czego doprowadzi rychło militaryzm wybujały i anarchizm równolegle z nim postępujący. Naszym tedy posłannictwem jest szukać przede wszystkim Królestwa Bożego i innym narodom na toż wskazywać a będzie nam dany w dodatku rozkwit nauki i sztuki polskiej najświetniejszy i stanowisko przewodnie na świecie w dziedzinie ducha.

TREŚĆ NUMERU:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Rok XIV. Nr 7. 8.
LIPIEC
SIERPIEŃ
1 9 3 7.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA“ POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. w Pawlikowicach p. Wieliczka.
Konto czekowe: P. K. O. 404.854.
Telefon 54.

Słowo Księdza Dyrektora.

Ludzie wielcy i kochający ludzkość, zwłaszcza naród własny, upatrywali i upatrują pomyślność, rozwój i błogosławieństwo Boże narodu w wychowaniu młodzieży w ogólności w zasadach Chrystusowych, i w zajęciu się sierocą, zaniedbaną młodzieżą w szczególności. Sprawa ta nie potraktowana sumiennie i należycie ciężko się odbija i odbije na społeczeństwie i nawet stanie się jego ruiną. Dowodów na to nie potrzeba, nawet i mniejsze umysły łatwo to pojmują. Jednak spełnienie tego wielkiego zadania, mam tu na myśli wychowanie młodzieży osieroconej, jest rzeczą, niełatwą, trzeba do tego ludzi z rozumem, sercem i heroicznym poświęceniem. Bóg, kochający ludzkość, ludzi takich narodom daje. Dał Italii św. Jana Bosko, dał Polsce ks. Bronisława Markiewicza. Ten będąc kilkuletnim współpracownikiem tegoż świętego, najlepiej może ze wszystkich jego uczniów, duchem i zasadami jego się przejął, które do kraju swego przeszczepił. Założył on instytucję wychowawczą w Miejscu Piastowym, którą radby był w tysiącach pomnożyć, aby wszystką polską sierocą młodzież opieką otoczyć i na pożytecznych ludzi wychować. W pisemku swym „Powściągliwość i Praca“ ustawicznie o potrzebie akcji tej przekonywał, wyjaśniał i do niej nawoływał. Jednak mało był rozumiany i popierany, natomiast mocno zwalczany i to od wyższych w narodzie, tak, że zdawało się, że dzieło jego całkiem runie. Nie runęło, bo było dziełem Bożym. Jednak i teraz nie jest należycie ocenianym i wspieranym, stąd chociaż istnieje ono blisko pół wieku, słabo stosunkowo się rozwinęło, małe dotąd ogarnęło kręgi i może jeszcze ani w jednej dziesiątej nie zaspokaja piekących potrzeb sierocych w kraju. Spadkobiercom idei ks. Markiewicza, tj. zgromadzeniu św. Michała Archanioła, dzięki Bogu, nie brak zapału i poświęcenia, ale brak mu jest dostatecznego poparcia, brak mu jest funduszów do rozwoju i pracy wydajnej.

Zakład w Pawlikowicach jest pierwszym po Miejscu Piastowym, założonym został jeszcze za życia ks. Markiewicza. Istnieje już przeszło lat trzydzieści i stara się spełniać jak najlepiej swe wielkie zadanie, nie zraża się trudnościami, ale wyznać musi, że prawie zawsze srogą stacza utarczkę o byt materialny. I któż się zdziwi gdy pomyśli, że najmniej trzy razy dziennie trzeba nakarmić prawie dwusetną rzeszę, trzeba ją odziać, kształcić i wychować. Trzeba wiele zasobów, przychodów i sił, a dochody nie przychodzą. Braki rzeczy koniecznych do istnienia są zawsze dotkliwe, skrajne w najwyższym stopniu, które raczej dzieło kurczą niż je rozwijają.

Na zakładzie pawlikowickim jest oparta przyszłość i rozwój dzieła ks. Markiewicza, tu jest główny dom studiów, tu jest gimnazjum, tu nowicjat, tu jest kuźnia i formowanie przyszłej armii wychowawczej w duchu św. Jana Bosko i ks. Markiewicza. A duch ten to jest ukochanie duszy opuszczonego dziecka, poświęcenia dla niego swoich wygód i swego życia. Wychowanie go w miłości Boga i bliźniego, przy tym wyuczenie go jakiegoś zawodu, któryby mu dał chleb w rękę; wyuczenie go przestawania na małym, życia w powściągliwości i pracy, przepojenie duszy jego zasadami Chrystusowymi, aby później w życiu stał się pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Ks. Markiewicz widział, czyto z natchnienia Bożego, czy też z naturalnego głębokiego przeczucia, ostatnią wojnę i jego skutki, a po niej religijną o Boga, która teraz właśnie obejmuje świat cały i ma być gorszą od pierwszej. Wiek dwudziesty uważał on za ostatni. W walce tej ostatecznej o Boga znów ma odegrać zwycięską rolę św. Michał Archanioł. Czcił go on bardzo i zgromadzenie swoje ozdobił jego nazwą i oddał mu je w opiekę. Lecz sądził, że zwycięstwo sprawy Bożej osiągnie się raczej wychowaniem i poświęceniem chrześcijańskim aniżeli krzykiem i orężem.

Piękne zatym i wielkie zadanie mamy do spełnienia. Oby nas zrozumiano i siły nasze wspierano, a zapewne sprawa wiodąca do zwycięstwa strony Bożej poszłaby dużo gładziej naprzód. *X.*

Zgoda łączy, niezgoda rozdziela.

I.

Zgoda łączy nawet w biedzie,
Niezgoda rozdziela;
Lepiej mieć w sąsiedztwie
Swego przyjaciela.

II.

Staś się trzyma tej zasady,
Hartując swą wolę,
Unikając pilnie zwady
Tak w domu jak w szkole.

III.

To też zawsze mu wesoło
Uśmiech ma na twarzy
Za to lubią Stasia w koło
I młodzi i starzy.

L. Stasiński ucz. I. gimn.



Pawlikowice. Wycieczka do Dobczyc.

Co pisał ks. Br. Markiewicz 34 lat temu.

Ciężkie czasy.

Często można czytać w pismach wszystkich odcieni drukowanych na różnych miejscach, że zbliża się szybkim krokiem straszliwa burza i przewrót, jakiego świat jeszcze nie widział.

I rzeczywiście znaki są pewne, że coś podobnego wkrótce może nastąpić. Podobne czasy mieliśmy już przez trzy wieki, zacząwszy od umęczenia Zbawiciela na górze Kalwaryjskiej, aż do czasów Konstantyna Wielkiego. I dzisiaj świat spoganiały gotuje Kościołowi krwawą wojnę, która się w oczach naszych rozegra. Jesteśmy w przededniu wielkiego prześladowania prawdziwej religii. Nie trzeba się łudzić postępem wieku, ani starą cywilizacją świata: rozlew krwi i okrucieństwa bezecne mogą nastąpić, bo ostygła wiara na ziemi. Albowiem tylko wiara Chrystusowa hamuje namiętności ludzkie i daje rzetelną oświatę i obyczaje wzniosłe. Ażeby z tych zapasów wyjść zwycięsko, muszą ludzie dobrej woli naśladować życie pierwszych chrześcijan z okresu wspomnianego, który pokonawszy wszelkie przeciwieństwa okryli się chwałą, pchnęli świat na nowe tory i odnowili oblicze ziemi w duchu Chrystusowym.

Uczą dzieje, że ogół ich nie tylko starał się zachować przykazania Chrystusowe, ale nawet rady Jego. Ich życie w ogóle było czyste i bez nagany; służyli Bogu z ochotą i w prostocie serca. Żyli z sobą w zgodzie wzorowej: stanowili społem jak-

by jedno serce i jedną duszę. Nie było żebractwa pomiędzy nimi, ponieważ majętniejsi z nich nieraz sprzedawali role swoje i domy, a pieniądze za nie zebrane składali u nóg apostolskich na wsparcie chrześcijan ubogich. To zaś zaparcie się i tę miłość bohaterską bliźniego czerpali głównie z pilnego słuchania kazań i z częstego przystępowania do ŚŚ. Sakramentów, a osobliwie z częstej Komunii świętej, którą żyjący w związkach małżeńskich przyjmowali w każdą niedzielę i w każde święto i tudzież w dniach postu, a inni prawie codziennie, o ile im obowiązki na to pozwalały, pomni na słowa Chrystusa Pana: „Kto pożywa ciało moje i pije krew moją, ma żywot wieczny". Nakarmieni tym pokarmem Boskim, który jest źródłem miłości nadprzyrodzonej, brali w pokorze udział w miłosnych posiłkach wspólnych z innymi wiernymi, nie wyłączając nawet najuboższych.

Niewierni patrząc na tę wielką miłość chrześcijan, zdziwowali się mówiąc: „Patrzcie, jak oni się miłują".

Komunią świętą oświeceni mało sobie ważyli majątki i dostojeństwa tego świata, hojnie szafując nimi na korzyść ubogich i na cele rozszerzenia wiary św. Tą strawą niebieską wzmocnieni pałali wielką miłością ku wszystkim narodom, nawet ku wrogom swoim, których Chrystus Pan krwią swoją Przenajświętszą odkupił. Miłowali ich nie tylko ustami, ale czynem, posyłając im wsparcie materialne, co najważniejsza, niosąc im wśród trudów i upokorzeń doznanych od niewiernych i wśród niebezpieczeństwa życia, światło Ewangelji Chrystusowej. Tym chlebem anielskim pokrzepieni, szli ochotnie do więzień podziemnych na męki okrutne i na śmierć męczeńską. Dzięki częstej Komunii św. cała ziemia się skropiła krwią miljonów męczenników Chrystusowych; zapełniło się niebo nieprzeliczonym zastępem Świętych Pańskich a narody pogańskie weszły do Kościoła Chrystusowego i odmieniła się postać ziemi do niepoznania.

„Oto chleb Boży, który z nieba wstąpił i dawa żywot światu" (Jan 6., 33). Tak będzie i w naszych czasach ciężkich. Ci chrześcijanie wyjdą cało na duszy z burzy nam zagrażającej, którzy będą często przystępowali do Komunji świętej. Trzeba zaraz zacząć, aby potem nie było zapóźno. Nauczajmy o wielkiej zacności Najświętszego Sakramentu, rozszerzajmy Jego cześć a osobliwie częstą Komunją świętą. Zacznijmy od młodzieży, bo jej dusze są najlepiej do niej przygotowane. Za dziećmi pójdą ojcowie i matki.

Nie jest to żadna nowość, albowiem Sobór Trydencki (posiedzenie 22) wyraźnie oświadczył swoje życzenie, aby wierni podczas każdej Mszy świętej przystępowali do Komunii św., jak to czynili chrześcijanie pierwszych wieków nie tylko bez grzechu śmiertelnego, ale z przygotowaniem należytym, z uszanowaniem, z miłością należną i z pewnym łaknieniem. To zaś uszanowanie, miłość i łaknienie przyjdzie do nas, gdy będziemy częściej zastawiali się nad

zacnością Najświętszego Sakramentu. Komunia święta powinna się stać dla wiernych duchowym chlebem powszednim i ma się rozumieć, po przygotowaniu się do niej odpowiednim i po zgodzeniu się na to światłego spowiednika.

Zwykle spowiednik światły pozwala na częstą Komunię św., gdy widzi w duszy spowiadającego się z częstego przystępowania do niej większy postęp duchowy, a oraz wzmagającą się cześć dla Najświętszego Sakramentu.

Spotkanie.

W godzinach południowych i popołudniowych przepiękna pogoda, przechodząc całe gamy swego nasilenia, przemieniała się powoli w prawdziwy upał.

Słońce, które od kilku dni uśmiechało się do swej siostrzycy — ziemi poprzez jasne swe promienie, dziś wysilało się, by całą swą energię cieplną przesłać jej w milionowej powodzi kaskad istotnego żaru.

Wszystko, co żyło w grodzie Kraka przeniosło się nad brzegi sennie, a tak przymilnie toczącej swe wody, Wisły.

Za ogółem poszedłem i ja na plażę. Co za widok! Wszędzie, gdzie okiem sięgniesz, ludzie, ludzie i ludzie. Jedni zażywają przyjemności chłodnej kąpieli, innym wystarcza słoneczna.

Jak szybko zmieniają się poglądy i opinje obecnie na świecie.

Nie do pomyślenia nawet było przed kilkunastu laty, by w tej formie społeczeństwo miast, nie wyłączając Krakowa, zażywało powietrza, słońca i wody.

Jakaś manja sportu, czy zdrowia, czy chęci podniecenia nerwów owładnęła wszystkimi.

Może ktoś powie: to jest oznaką postępu, dzisiejszej kultury, doby dzisiejszej i nowych jej potrzeb.

Być może, nie myślę kategorycznie przeczyć temu, ale, jak na mój prosty rozum, to ta rzecz jest całkiem niejasna.

Na widok tego doznaję dziwnego uczucia, że my, z tym dzisiejszym postępem zbytniej swobody i nieskrępowania się, zapadamy w przepaść jakiegoś marazmu lenistwa duchowego i fizycznego, a co gorsza i moralnego zepsucia.

* * *

Takimi zajęty myślami, idę bezwiednie w górę rzeki.

Wtem pod krzakiem wikliny zauważam znajomą mi twarz. Kto taki? Początkowo nie wiem. Oczy, wyraz twarzy są mi arcybliskie, swojskie. Błyskawicznie przypomina mi się: „Józek! Jak babcie kocham, Józek z Zakładu, kolega i przyjaciel!

Jak się masz Józek? Skąd się tu wziąłeś?! Od jak dawna w Krakowie bawisz?!

Zasypuję mego kochanego Józka tysiącem pytań, bo prawdę mówiąc, nie posiadałem się z radości, żem się z nim spotkał.

Rozmawiając, kierujemy się do wałów rzecznych.

Dokąd idziemy? — pyta ciekawie.

Nie daleko — odpowiadam.

Aha! Wiem gdzie!

No!

Do tej najbliższej restauracji.

Zgadłeś.

Wybacz, ale ja tam nie pójdę.

A to dlaczego?

Bo żadnych trunków nie piłem i pić nie myślę.

Ładnie myślisz i mówisz, ale możemy coś zjeść, niekoniecznie pić musimy.

I to nie. Możemy zjeść gdzie indziej, nie koniecznie w restauracji, choćby nawet, gdzieś nad Wisłą.

Dziś zgodzę się z tobą, a jedno zastrzegam sobie: wybór w kupnie.

Do tego nie mam prawa. Ale proszę cię, nie rób sobie żadnych ze mną kurtuazyjnych gestów, Franiu — nie chcę cię narażać na wydatki.

Nie rób mi tej przykrości, mnie o pieniądze nie chodzi. Wracamy, szukając odpowiedniego miejsca.

Ciągnę dalej. — Teraz zarabiam dobrze i robotę mam stałą. Gdybyś mię tak spotkał lat temu 5, a rok po wyjściu z Zakładu, to wstydziłbyś się gadać z oberwańcem ulicznym. Fatalnie ciężki miałem ten pierwszy rok. Do domu nie szedłem, bom się wstydził. Do zakładu wrócić, jako „Syn marnotrawny" — również. No i nędza! Wymiatałem wszystkie dziury podmiejskie przez cały Boży rok. Wreszcie znalazłem majstra, solidnego człowieka. Przyjął mię. Zrobiliśmy umowę i napisali. Przy świadkach, ze strony majstra postawionych, podpisałem na dwa lata. Po roku miałem się wyzwolić, a rok pracować u majstra, lub 300 złotych ratami zapłacić z racji odszkodowania.

W pierwszych dniach i tygodniach trzymał mnie z daleka. Wnet się jednak przekonał do mnie i polubił jak własne dziecko. Po 1½ roku już nie chciał żadnego wynagrodzenia, a nawet sam mi się posadę wystarał w Elektrowni miejskiej. Zaznaczyć muszę, że ja się zupełnie od tego czasu zmieniłem. To nie ten już „Franek urwisz", ale porządny chłop! I takim chcę być w oczach obcych i swoich. Wszystkom sobie przypominał, com w Zakładzie słyszał o Bogu, pracy i poczciwości, charakterze. Rozumieć to wszystko począłem.

I rzecz dziwna. Inaczej zupełnie poczęło mi się powodzić. Do robotym się przykładał nie żartem, prywatniem studiował dzieła różne, traktując z zakresu ślusarstwa, monterki, a specjalnie elektromonterki.

I dziś porządnie stoję. Mam trzy pokoje, w jednym pracownię prywatną, w innym sypialnię, a w innym pokój przyjęć.

Możesz sobie na to pozwolić dziś? No, toś pan!

Wiesz, zaawansowałem w oczach kierownika inżyniera, może mnie na jakie studia pośle, bo to przyrzekał. Prosiłem go, by raczył obejrzeć moją pracownię prywatną. Przyszedł. Interesował się każdym szczegółem, a później pytał, czy chciał-

bym się uczyć i specjalizować? Oczywiście, żem przytwierdził.

Pozwól Franuś, że ci przerwię, ale ty gadasz, jak jaki adwokat. Nie dziwię się, żeś tak wypłynął, ani ci nie zazdroszczę, boś tego wart.

No, no, nie chciej mnie tylko głaskać po brodzinie. Siądźmy tu i spożyjmy co mamy.

Masz robotę? Mam. Dobrą? Dosyć.

Kiedyś z Zakładu wyjechał?

Przed miesiącem.

Powiedz mi coś o Zakładzie? Przecież od 6-ciu lat tam nie byłem.

Wiele się od tego czasu zmieniło. Przede wszystkim zmieniony został ks. Dyrektor i ks. Prefekt.

Wybacz, że zapytam cię. Gdzie jest prefekt S?..., To był bardzo porządny człowiek.

Dodaj świątobliwy. Jest w Dziatkowiczach.

A dyrektor — staruszek?

W Miejscu Piastowym.

To jest natura o szerokim geście. Tylko szkoda, że tak sterany.

Co nie ma być sterany, jak jest dyrektorem już z 30 lat, albo i więcej, jak słyszałem.



Pawlikowice. Uporczywa walka z chwastami.

Trzeba mieć stalowe zdrowie, by tyle wysłużyć w naszych Zakładach. Wiesz co mnie w tych ludziach uderza, to dziwne przywiązanie się do swoich Zakładów i ukochanie tej idei, której naprawdę zazdrościć im trzeba. Takiej nie znajdziesz w świecie.

Prawda, że ideę mają wzniosłą, ale cóż muszą przy niej biedę klepać aż strach. Żeby nie te długi, toby inaczej Zakłady nasze stały. Słuchaj Franuś, mam coś dla ciebie.

Cóż takiego?

Jak sam mówiłeś, że dobrze ci się powodzi. Czybyś nie mógł

im posyłać przynajmniej po kilka złotych miesięcznie?

Owszem, czemu nie! Tylko w tym miesiącu to nie, bo mi jakoś pieniądze rozleciały się, ale odtąd będę o tym pamiętał. Opadły mię organizacje różne i to na to, a to na tamto i pieniądze daj. Myślę się z nich powypisywać.

Nie czyń tego. I to wykorzystamy. A wiesz w jaki sposób, że przez twe pośrednictwo i znajomości będziemy mogli wychodzącym z Zakładu chłopcom ułatwiać znalezienie pracy i utrzymania.

Józiu, nieoceniony z ciebie chłop. Zrobi się. Przecież i ja się nabiedowałem, to wiem co to znaczy, a zresztą człowiek powinien się za to, że przez kilka lat go wychowywali i ostatecznie jestem czemś, to im zawdzięczam. Więc im się coś od „urwisza" dawniejszego należy. Jedno tylko należy wziąć pod uwagę z tym protegowaniem, że chłopców, których mi polecisz, masz dobrze poznać, by nie przynosili mnie i tobie ujmy i wstydu, no i żeby Zakładowi opinii nie psuli.

Rozumie się, że tylko tak należy postępować. Ściemnia się już. Franiu, chodźmy do domu. Ja słyszałem, że tu, gdzieś w Krakowie na uniwersytecie jest Zdzich W. Musi on być już na 3-cim albo 4-tym roku. Dobrze byłoby, by i jego do tej akcji wciągnąć.

Ho, ho, Józek z ciebie głowacz niekiepski, jak widać. Zabierać się myślicie do rzeczy nie na szeroką skalę i to poważnie. Pomoc swoją obiecuje i choćby nawet od dziś.

Nie tak prędko i na gorąco nam trzeba postępować. Najprzód trzeba odnaleść Zdziska, a następnie, już we trzech coś obmyśleć musimy.

Bardzo dobrze. Odszukaj go i przyjdź do mnie

Pa...

Rozeszli się na skrzyżowaniu ulic. Wir życia miejskiego, który niepomiernie ożywiać się zaczynał wieczorem, pochłonął ich w swoje nienasycone czeluście. Myśli jednak rzucone utkwiły im głęboko w pamięci. Poczęli myśleć nad ich realizacją.

Złote myśli.

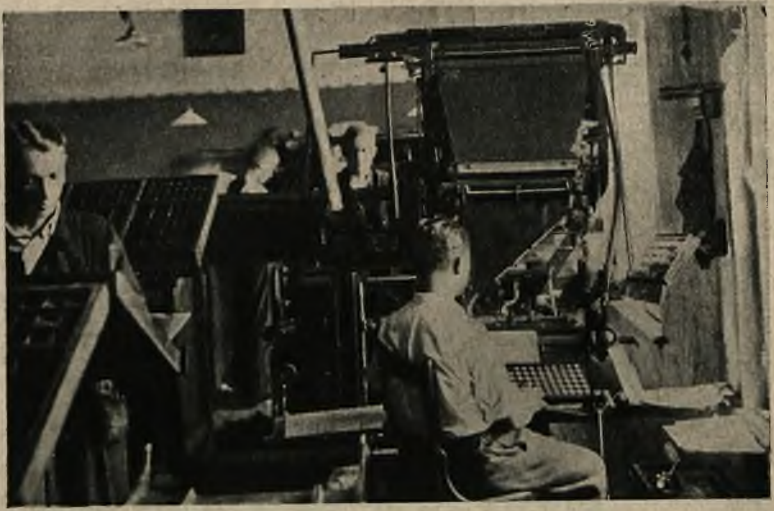
1. We wychowaniu młodzieży na pierwszym miejscu należy postawić oświecenie o prawdzie nadprzyrodzonej, a potem dopiero o świecie materialnym i umysłowym.

2. Stosunek do Boga czyli religia prawdziwa jest czynnikiem rozstrzygającym w sprawie oświaty.

3. My Polacy, którzy od tysiąca lat chodzimy w świetle prawdy nadprzyrodzonej i zasłużyliśmy na zaszczytne miano „przedmurza chrześcijaństwa" i dotąd nim jesteśmy czynem, pismem i słowem — mamy bogate wzory wychowania w licznych żywotach naszych wielkich mężów i niewiast.

Ks. Br. Markiewicz.

(Przewodnik dla wychowawców).



Kraków. Zecernia i Linotyp.

Jak drukują „Nasze Życie".

„Nasze Życie" — jedno słowo a tak dużo mówiące! Wobec niego niknie wszystko inne. Prawie do wszystkich zakątków jak Polska długa i szeroka, a nawet za Ocean dociera nasze miłe pisemko. — Myślę że wszyscy czytają je z wielką ciekawością i uśmiechem na ustach, boć artykuły w nim zawarte wychodzą z pod pióra dusz młodych; nie wiedzą jednak Mili Czytelnicy, ile pracy potrzeba, zanim pofrunie w świat gotowy egzemplarz „Naszego Życia". Spróbuję więc opisać, jak powstaje „Nasze Życie" i zobrazować choć pokrótce nasz zakład, w którym się drukuje.

Jak Drogim Czytelnikom pewnie wiadomo — pismo, które czytacie co miesiąc, jest drukowane w naszej chrześcijańskiej drukarni, pod nazwą „Powściągliwość i Praca". — Wejście do drukarni jest ładne. Sam budynek drukarni jest dość okazały, piętrowy. Przed budynkiem rozciąga się ogród; w samym środku ogrodu stoją śliczne, srebrne sosny, tu i tam rozrzucone gustownie krzewy ozdobne i klomby kwiatowe, a całość według mnie jest bardzo piękna.

W głębi alei wjazdowej widnieją schody, które prowadzą do kancelarii drukarni. Tam panuje ożywiony ruch, stale przesuwają się goście — jedni z zamówieniami, inni przychodzą po wykonaną pracę.

Idziemy dalej i wchodzimy na pierwsze piętro właściwej dru-

karni, w drugim budynku. Tutaj znajduje się zecernia. Jest to duża sala, zastawiona regałami, w których jest pełno kaszt (szufladek) z czcionkami. Pracują tutaj przeważnie wychowankowie zakładów Ks. Mar-

„Cztery Ewangelie“ oprawna w płótno kosztuje tylko jednego złotego! Za bardzo już rozpisałam się o naszej drukarni i może zrobiłam małą krzywdę „Naszemu Życiu“... a przecież miałam inny cel.



Kraków. Maszyny drukarskie w ruchu.

kiewicza. Kilku zecerów stale jest zajętych przy linotypach, a inni składają ręcznie. I tu mamy początek naszego pisemka. Po złożeniu literek w kolumny w zecerni, wędruje „Nasze Życie“ do hali maszyn na parter, gdzie pracuje 5 dużych maszyn i 3 małe. Tutaj to drukuje się „Nasze Życie“ oraz przeróżne dzieła, broszury, tabele, afisze, ulotki i wogóle wszystkie rzeczy wchodzące w zakres drukarstwa. Naprzykład: niedawno wyszła z drukarni śliczna książeczka pt.

A więc „Nasze Życie“ jest pisane przeważnie przez autorów w Zakładzie w Pawlikowicach. Ileż to razy nabiedzi się autorek mały nad artykułem, ile papieru napsuje zanim naczelny redaktor raczy mu go przyjąć.

Kiedy już naczelna redakcja zbierze plik artykułów, przesyła ją do drukarni, aby były prędko złożone. W drukarni otrzymuje to pan kierownik, który bardzo się stara, aby każda praca była starannie wykonaną.

Gdy artykuły zostaną złożone, przychodzą do korekty, to znaczy poprawia się w nich błędy, bo nawet najzdolniejsi zecerzy się mylą. Po dokładnym poprawieniu wszystkich usterek wysyła się układ do Pawlikowic, gdzie redaktor naczelny robi już ostatnią rewizję, ma się rozumieć przyjeżdża wtedy osobiście do Krakowa i... pozwala drukować.

Od samego ranka już znosi się papier z magazynu do maszyn, bo prawie że na wszystkich maszynach drukuje się „Nasze Życie". Potem calą dobę nakład się suszy, potem daje się go do ekspedycji, gdzie panie falcują (składają) arkusze Następnie wkłada się arkusze do okładki, szyje, obcina i odstawia wszystko na stoły, żeby nie przeszkadzało w innej pracy i czeka się, aż znów ktoś przyjedzie z Pawlikowic.

Do ekspedjowania przyjeżdżają zawsze do pomocy nam klerycy lub studenci, którzy mają ze sobą dużą walizę, a w niej wszystkie adresy do Kochanych Czytelników. Pakowanie „Naszego Życia" trwa cały dzień, a pomocnicy z Pawlikowic zostają nieraz do późna w noc. Kiedy pakowanie się kończy, zaraz zajeżdża wóz i wywozi „Nasze Życie"... na kolej.

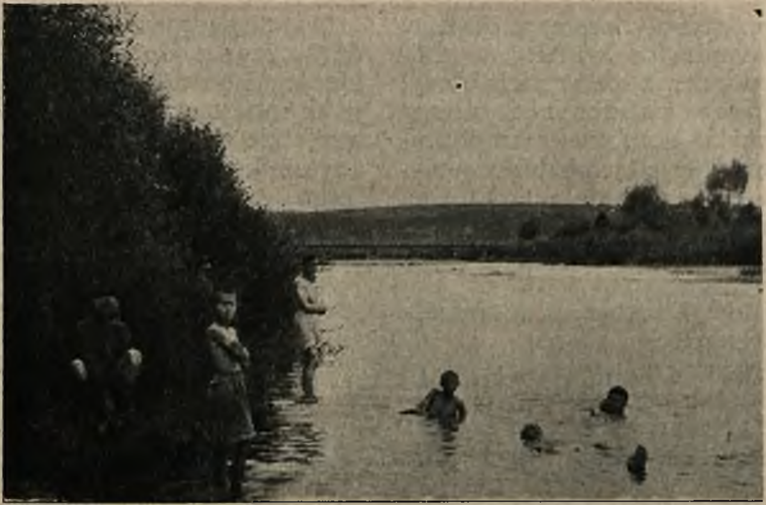
Bardzo byśmy się cieszyli, aby kochani Czytelnicy zjednali nam dużo prenumeratorów, a przy sposobności zwiedzili naszą drukarnię „bo nie wszystko da się opisać tak, jak jest w rzeczywistości. Kończę już to pisanie, gdyż naczelna redakcja pewnie więcej by nie przepuściła — ślę kochanym Czytelnikom „szczęść Boże" w pracy i serdeczne pozdrowienia od pracowników i pracownic, naszej drukarni z Krakowa. *H.*

Pieśń.

Twój akord mi zapachniał
trawy głęboką zielenią.
Przyniósł tchnienie zadumy od łąk
rozwitych, dalekich.
Dziwem ślepej tęsknoty
rozsnuł drgające przestrzenie.
Barwną ciszą zachwytu
rozszerzył oczu powieki...
Tajonych szeptów żarem w źrenicach
swych
zachwycasz.
Obłędem słów spragnionych nabrzmiały twoje usta.

W warkoczach tonów twych
śpi wielka serca tajemnica:
łez żądz, ukochań, zalęków
rozfalowana postać.
Spowiedź rozkoszy i bólu szepczesz
ludziom od wieków
I bolącymi palcami
nieczułe serca targasz...
Od ukrytych strun duszy
obłudy otwierasz wieko.
Wielkość i nędza człowieka
na rubinowych twych wargach...

Ochała Ferdynand.



Pawlikowice. Kąpiel w Rabie.

Zbych.

Pamiętasz? — miał takie piękne modre oczy... jak chabry. Lubiliśmy go wszyscy — wybaczali wiele.

Nieraz krzyczał na Józka, czy Franka: „Ty smyku, takiś duży, a durny jak tabaka w rogu". — Śmialiśmy się, nawet Józek, czy Franek wtórowali nam niepewnie. O tym, żeby mu skórę wytrzepać, nie było mowy. Posiadał tęgich obrońców, za których plecami mógł broić bezkarnie.

Raz, jako stróż nocny, posmarował sadzą wszystkich śpiących, kiedy indziej zarekwirował kąpiącym się ubrania i musieli pędzić do zakładu nago, to znów przyrządził aktorom herbatę (która miała na scenie oznaczać wino)... o zgrozo!... z korków... Mimo to, a może właśnie dlatego był przyjacielem wszystkich.

Zadziwiał niezwykłą inteligencją. Raz naprzykład rówieśnicy dyskutowali na temat: Czy poprawniej mówić „śpią w sypialni" czy „na sypialni". Zjadliwy spór długo nie doprowadzał do żadnego wyniku. Dopiero Zbyś rozwikłał zagadkę to tak od jednego zamachu, kiedy zwrócił się do antagonisty z zapytaniem: „a jak poprawniej mówić, że masz głupio w głowie, czy na głowie?"

Argument był przekonywujący, a dalsza dyskusja bezcelowa.

Rwał się do koni... Nieraz drżeliśmy, kiedy ponosił go rozszalały rumak — „Jeszcze spadnie, pędrak taki". Ale lubiliśmy równocześnie patrzeć na jego grackie ruchy i zuchowatą postawę.

Z tym krokietem to jednak... Żeby tak palnąć chłopa młot-

kiem przez łeb... ktoby powiedział — taki czupurny brzdąc — „ledwiem go pomacał“ — tłumaczył się, ale po prawdzie to o mało głowa Józkowi nie pękła.

Sprawa dotrzęsła się do ks. Dyrektora.

— No i co? — indagował Zbych lokaja — Źle... Dyrekcja bardzo się rozsierdziła — „Nie będę zbójów trzymał w zakładzie“ — krzyczała w głos „zawołać go tu!“

— Aha... wezmę lanie, a może i co gorszego... a przecież ledwiem pomacał...

— Pomacać toś nawet dobrze pomacał... ale co tam... przeprosisz i będzie wszystko po dawnemu.

— Będzie i nie będzie — zadumał się Zbyszek. Po chwili dodał zasępiony — „I pocóż ta cała awantura? Musiałem go to rymnąć w głowę?“

Słowa godne mędrca(!).

— — — — —

Uciekł... Zaraz po wypadku z krokietem. Na wezwanie ks. Dyrektora nie stawił się. Kto wie może się bał może wstydził, jedno i drugie. Wysłano gońców za zbiegiem. Ale Zbych umiał kluczyć jak lis, umiał zacierać po sobie ślady... Tu i ówdzie widziano chłopca w czapce-baciarce, tu i ówdzie wskazywano kierunek w jakim szedł... Nic to nie pomogło... Gońcy wrócili z niczem.

— — — — —

Spotkałem go w Krakowie. Niósł plik gazet i wykrzykiwał: „Tempo dnia po 10 groszy — Tempo dnia“. Podszedł ku mnie najbezczelniej.

— „Może pan kupi?“

Nie poznałem go odrazu, gdyż napół oderwany od czapki daszek przysłaniał mu twarz. Starałem się nawet zbyć go zapewnieniem, że nie posiadam „drobnych“ (jak zwykle).

— To niech pan daje grube — rozśmiał mi się w samą twarz.

— Zbych?! — jak się masz?

— Tak sobie, ale mów, co się dzieje w zakładzie.

— Po staremu... A, ty?

— Widzi pan jaki ze mnie teraz obtarganiec?!

— Czemu nie chcesz być w zakładzie?

.. Słuchaj, może byśmy tak wrócili obydwaj?

Oczy mu pojaśniały radością..

— A wie pan, znakomita myśl!

Nagle zgasiło w nim coś ten wybuch.

— E, nie... nie... nie mogę... nie pojadę... Zresztą jest mi tutaj dobrze...

Wiedziałem, że mówi nieszczerze. Zacząłem go przyciskać, aż się wygadał. Aha... więc to tak... Od tego dnia, w którym uciekł, tułał się po wszystkich zakamarkach Krakowa. Sypiał gdzie padło, często głodem przymierał. Najgorzej mu było z początku. Dwa dni nic w ustach nie miał. „Teraz już sobie jakoś radzi“ — A do zakładu chciałby, tak chciałby wrócić, tylko ks. Dyrektor pewnie go już nie przyjmie — takiego „zbója“, a w dodatku „uciekiniera“ — kończył.

Obiecałem mu, że zrobię wszystko, by go przyjęto z powrotem.

— — — — —

I wrócił... lubiliśmy go po dawnemu... Miał takie piękne modre oczy... jak chabry... — pamiętasz?...



Pawlikowice. Bigos dla wycieczkowców już gotów.

Kącik ks. Prefekta.

Nie wszyscy może wiedzą, jaką to rolę odgrywa prefekt w Zakładzie i co znaczy ten tytuł, a więc chcę wyjaśnić. Tak jak niegdyś w państwie rzymskim prefekt był pierwszym w znaczeniu i władzy po cesarzu, tak podobnie i w Zakładzie jest on pierwszym po ks. dyrektorze. Również porównać by go można do matki w rodzinie, a dyrektora do ojca. Ks. dyrektor na wzór ojca załatwia sprawy ważniejsze na zewnątrz, zaś ks. prefekt wszystkie inne ściślej domowe, wewnętrzne. Zatem wszystkie potrzeby wychowanków są na głowie prefekta. Jak każdy żyjący, tak i chłopiec w zakładzie ma jakieś sprawy i potrzeby, bez których obejść się nie może. Idzie on z nimi do ks. prefekta. Największy kłopot ma ks. prefekt z kucharzami i piekarzem, — gdyby nie ci ludzie, to zapewne żyłby on dłużej najmniej lat dwadzieścia. Chłopcy chcą i muszą jeść, kucharze chcą im gotować, a tu bywa, że spiżarnia całkiem pusta. Prefekta rzecz, by w niej była mąka, sperka, fasola itp. Jak prefekt może głodzić tak lubych i poczciwych synów, jak może robić krzywdę żołądkową np. seminarzystom, którzy tak się mordują by się stać kiedyś mądrymi michaelitami. Jak nie dać chleba ziemskiego nowicjuszom, którzy w zdobywaniu niebieskiego tak piękne robią postępy! A tu poza jedzeniem ile jeszcze potrzeb w zakładzie. Trzeba opału, trzeba materiału na ubrania, obuwie, trzeba książek,

trzeba lekarstw i td. i td. Zapewne żaden minister spraw wewnętrznych tyle się nie namozoli co prefekt w zakładzie michaelickim. Minister ma budżet, prefekt ma to, co otrzyma z łaski boskiej i ludzkiej. W magazynie ks. prefekta poza mąką i sperką brakuje: samych koszul najmniej 80, trzewików z 50 par, ubrań ze 40, kilka tuzinów ręczników i prześcieradeł nie mówiąc o innych drobiazgach. Chłopcy nie są wybredni, przyjmą chętnie i używane rzeczy i z tych się cieszą, jeśli je dostaną. Możeby ktoś z łaskawych Czytelników miał co do przysłania, wielką by przysługę sprawił i ks. prefektowi i biednemu jego wychowankowi. Każda rzecz będzie z wielką wdzięcznością przyjęta. Prośba nigdy nie jest miłą ,zwłaszcza dla proszącego, chyba że zbezczelniał; tego miana posiadać byśmy nie chcieli. Jednak zmuszeni jesteśmy prosić o wsparcie. Chcemy żywić przyjęte dzieci i ulżyć ich doli, która ich trapiła przed przyjściem do nas. Przyjęliśmy dobrowolnie na siebie ten obowiązek, zawsze w nadziei, że znajdą się ludzie dobroczynni, którzy nam w tym szlachetnym dziele miłosierdzia przyjdą z pomocą. O przyjście to uprzejmie prosimy!...

Założyciel naszych zakładów ks. Markiewicz, mówił: Nietylko ci, którzy wychowują w zakładach dzieci opuszczone, ale i ci, którzy wspierają te zakłady datkami, albo poparciem moralnym mają uczestnictwo w najwyższej akcji społecznej, zasługują się niezmiernie dla ojczyzny, ale co najważniejsze zyskują w niebie nagrodę na wieki trwającą. Pan Jezus zaś mówi: Skarbcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniecie przyjęto was do przybytków niebieskich.

X. Edy.

Czy P. T. Czytelnicy naszego pisemka „Nasze Życie” pragną przyjść z pomocą naszym wychowankom?

Jeśli tak, to uprzejmie prosimy, niech złożą na ten cel ofiarę pieniężną, używane ubranie, bieliznę, opał i t. d. pod adresem: Zakład wychowawczy, Pawlikowice p. Wieliczka, P. K. O. 404.854.

Wychowanie ku radości.

Kto dziś nie szuka radości, kto jej nie pragnie? Jakżeż więc to się dzieje, że wielu ludzi żyje w przygnębieniu, że obcym jest im słowo radość? Oto szukają jej tam, gdzie jej znaleźć nie można, lub też takiej, jaka jest rzadkością na ziemi — wielkiej radości. Tymczasem inna jest droga do znalezienia tego talizmanu szczęścia. W tym krótkim artykuliku nakreślę tylko jej zarysy.

Radość — jakże rzadkie dziś słowo, chociaż winno rozświecać ciągle serca wszystkich, a szczególnie tych, co dopiero wchodzą w życie i potrzeba im wiele słońca, wiele radości. Smutek bowiem to jak mróz na młode rośliny — zwarzy serca dziecięce i czyni je podatniejszymi na działanie zła.

Słusznie więc wielki wychowawca Foerster zalicza radość do najważniejszych pomocniczych środków w wychowaniu.

A co tę radość ma obudzać. Mylnym jest dość rozpowszechniony pogląd, że dziecko lub młodzieniec jedyne źródło radości znajduje w zabawach, rozrywkach. Kto głębiej wniknie w życie młodych, pozna, że tak nie jest. Są bowiem o wiele bogatsze kopalnie radości — trzeba je tylko odszukać.

Mówiąc o radości czysto naturalnej, jak wiele znajdziemy jej w żmudnej, codziennej pracy czyto ręcznej, czyto umysłowej. Każda praca, wykonywana z zamiłowaniem, z głębokim odczuciem jej znaczenia dla życia, jest źródłem niewyczerpanym radości twórczej. Każdy bowiem krok naprzód na tej drodze, każde zwyciężenie przeszkody, daje bardzo wiele radości. Trzeba tylko pracę ujmować z tego punktu widzenia.

Dalej śpiew, muzyka — to także znakomite środki do zdobywania radości życiowej. Trzeba tylko spostrzec, jak się powiększa kapitał radości przez samoopanowanie się przy tych ćwiczeniach, pokonywanie powolne bemolków i krzyżyków, jak wreszcie zespołowe występy i próby nawet, wzmacniają i podnoszą siły duchowe.

A zabawy — czy zawsze są źródłem radości? Niestety, nie. Dlaczego? Bo nie zawsze zabawy są dobre. Kto w zabawie jest egoistą, siebie tylko szuka i nie chce dzielić radości wspólnej, zespołowej — ten nigdy w zabawie nie znajdzie radości. Będzie cierpiała obrażona duma, będzie skwaszony ciągle niezadowolony. Dla takiego zabawa będzie powodem nie radości ożywczej, lecz przygnębiającego smutku. Zreformujmy więc zabawy, czy też nasz do nich stosunek, a nowe z nich radości wytrysną.

Szukając źródeł radości, nie można zapominać o najważniejszym i najgłębszym — źródle radości nadprzyrodzonej. Chrześcijanin i katolik nie może być smutnym. Religia nasza jest religią radości. Pan Jezus za życia swego pociągał ku sobie tłumy, szukające prawdziwej duchowej radości, radości w Bogu. Uzdrawiał chorych na du-

szy, leczył ciała, ocierał łzy płaczącym, zawsze i wszędzie niósł pokój i radość. Męką Swą i śmiercią wysłużył nam miejsce wiecznej z Nim radości, a w Kościele Swym zostawił niewyczerpane jej źródła: W Sakramentach Świętych i modlitwie. Ukryty w ołtarzach naszych wzywa obciążonych smutkiem i grzechami, aby ich ochłodzić. Któż więc patrząc i rozpamiętywując to wszystko może się nie radować w Bogu?

Radość więc nie zginęła, istnieje i istnieć będzie, trzeba tylko ją znajdować. Wobec tego nie ma żadnego znaczenia zarzut, że życie jest ciężkim borykaniem się z losem, że nie można przez nie przechodzić z uśmiechem i dlatego też młodzież trzeba przyzwyczajać do znoszenia smutków i przeciwności zawczasu.

Krótkowzroczność tego zarzutu całkiem widoczna. Czy mądrym nazwiemy lekarza, który dla zahartowania ciała na złe wpływy atmosfery, trzyma dziecko zdala od słońca i świeżego powietrza. Przecież to one właśnie są najlepszą ochroną przed chorobą. Podobnie i wychowawca, najlepiej zahartuje młodą istotę na czas burz i przeciwności życiowych, jeśli ją wychowa w słońcu prawdziwej radości i dopomoże jej do zebrania kapitału radości na życie.

Błędnym jest również przekonanie, że do radości potrzebny jest majątek, przepych, sława i t. p. Przeciwnie — najczęściej z tym wszystkim nie radość, lecz smutek chodzą w parze.

W zbieraniu radości naśladujmy pszczółkę, która z wielu i małych kwiatków zbiera ciągle słodki nektar. I w życiu również trzeba się zadowolić małymi radościami, których wokół nas wiele. Tylko często my ich nie spostrzegamy, bo wzrok nasz szuka wielkiego kwiatu radości i znaleść go nie może. Naśladujmy dusze słoneczne, których raduje ptaszek świegocący. — Słońce wschodzące, najmniejszy kwiatek na łące. Stwórca wiele piękna rozlal w przyrodzie — umiejmy je odszukać i obrócić na wzrost radości.

A dla dziecka każde dobre słowo, uśmiech przyjazny, najmniejsza usługa i pomoc jest źródłem radości i tworzywem kapitału radosnego w życiu. Uczmy dzieci szukać dobrej radości.

Uczmy żyć więcej radością i innych nią darzyć. Niech czoła nasze nie kryją ciągle zmarszczki, niech nam nigdy nie braknie „dobrego humoru". Bądźmy słońcem dla bliźnich.

I. S.



Pawlikowice. Mecz w Dobczycach.

Fair play.

(Gra towarzyska w piłkę nożną między mną a publicznością. — ... Gwizdek sędziego — rozpoczynamy mecz).

Każdy mieszkaniec ziemi winien grać w piłkę nożną — a to z wielu przyczyn. Przede wszystkim, gdy uważnie spojrzymy na globus, przekonamy się, że kula ziemska stworzona została na obraz i podobieństwo football'u. Jest okrągła i — raz kopnięta — toczy się dalej... (słowa znanego humorysty Z. Nowakowskiego). Kopniak jest znany człowiekowi już od chwili pierwszych „fikasów" w kołysce... na razie w próżni. Rychło jednak szybka orientacja wskazuje przyszłemu sportsmenowi odpowiednie „locum" nożnego wyczynu. Przychodzi to samorzutnie, jako epilog gonitwy za przestępcą — rówieśnikiem. Jest to ruch instynktowny wrodzony naszej naturze, równie ważny jak sen lub oddychanie... czasami niezbędny.

(Zdaje się publiczność wołaniem: „Sędzia czas!" „Czas"! dopomina się ładniejszej gry z mej strony.).

Jest wiele cennych obostrzeń regulaminu footballowego — które z wdziękiem nadałyby się do życia codziennego. I tak, prawo sędziego do wyrzucania z boiska z nietajoną radością przyjęte zostałoby w kołach dłużników skoro pojawi się we drzwiach (w bramce)... sekwestrator z teczką.

Któż z czytelników nie spostrzegł doniosłej wartości „autów" (aut) bocznych i bramkowych — dzięki którym gra nigdy nie przeniesie się na terytorium nieprzewidziane. Jakiż

doskonały środek przeciw mówcom i kaznodziejom chorującym na „daleki dystans"'. Taki już duch czasu — idea sportowa zakorzeniła się nawet u dostojnych „patricii".

Gdyby ich mowy miały swoje „auty". Gdyby można mówcę schodzącego wytwornie z tematu — przywieść do porządku gwizdkiem sędziego „aut"! —

— „Wybijać na środek!"

Albo gdy przemowa wieczorna zaczyna być przydługa — gwizdek sędziego daje znak końca „meczu".

...Wszak idealne udoskonalenia. (*gwizdek sędziego... „goal" — 1 : 0 na moją korzyść za dobry żart.).*

Zaczynam się poważnie obawiać jakiego zatargu z regulaminem sportowym, by np. nie sprowadzić całej mojej gry na „aut" lub co gorsza kogoś nie „sfaulować" — ale uważam, sędzia da sobie ze mną radę.

Bodaj, że najwięcej zawodów sprawia niebezpiecznym „napastnikom t. zw. „offsaid" (offside — spalony). W chwili najodpowiedniejszej... w idealnej pozycji podbramkowej, gdy cichuteńko czeka na piłkę i przygotowuje zabójczą „bombę" lub „lewy róg" wtedy powietrze przeszywa głos gwizdka „offsaid!"

Nie raz, nie dwa zachodzi groźny napastnik po cichuteńku, ostrożnie w stronę ogrodu, by zerwać kilka „goali" z gruszy czy jabłoni...

Wcale dobrze nadałby się wtedy ów gwizdek „offsaid!" w momencie wspinania na drzewo.

...„Offside" — spalony — sędzia zobaczył...

(Gwizdek sędziego — rzut karny na moją niekorzyść — za występowanie przeciw solidarności młodych. Rzut egzekwuje lewo-skrzydłowy. — Na nic! Uderzył „czeskim", piłka poszła na „aut". Dalej 1:0 na moją korzyść. Gra toczy się ostro — zostałem „sfaulowany" na polu karnym. Biję karnego „płaskim" — „goal" 2:0 na moją.).

Nie chcę nikogo „sfaulować", konstatując, że pozycja, „karny" jest należycie honorowana w życiu rodzinnym i to nawet z dużymi anologiami. Rzut karny na boisku odbywa się z odpowiednią powagą — stosunkowo z niewielkiej odległości, przy czym bezsilną jest pomoc kolegów z tej samej partii.

Zupełnie jak wobec ojca rodziny po rachunku sumienia wieczornym kiedy to tatuś nie dwuznacznie zabiera się do „karnego".

Z tą tylko różnicą, że na boisku nie można przewidzieć wyniku rzutu oraz gdzie będzie skierowany.

Zgoła o wiele pewniej przedstawia się sytuacja podbramkowa w pokoju.

Znamy z góry wynik, znamy kierunek, wiemy nawet jakim stylem wyegzekwuje ojciec „rzut karny — „płaskim" czy paskiem...

(Gwizdek sędziego — Młodzi gracze żądają usunięcia mię z boiska. Sędzia daje mi upomnienie. Jeszcze 30 minut do końca. Gra stoi na wysokim poziomie jest t. zw. „fair play").

Dla udobruchania młodych, rzucę kilka poważniejszych u-

wag. 7-mio milionowy naród czeski i 9-cio milionowy węgierski zajmuje już oddawna ustaloną pozycję w szeregu narodów związanych ideą sportową. W Niemczech istnieje 35.000 drużyn piłki nożnej i z milion zarejestrowanych graczy. W Anglii co 3-ci człowiek młody gra w piłkę. W Polsce jest zaledwie 760 zajerestrowanych drużyn. Dotychczas tępiono u nas football, nie wiedząc ile ważnych kwestii wychowawczych rozwiązuje on samorzutnie...

Sport uczy szybkiej orientacji, zaprawia do karności, krystalizuje tężyznę.

...A zresztą — dzisiaj przestał być ideałem człowiek o zgarbionych plecach i wyżółkłych policzkach...

Życie jest twarde i mozolne — tylko jednostki odporne wyjdą zeń zwycięsko!!!

(Brawo-o-o — uzyskałem 3-cią bramkę za filozofowanie. W sam raz gdyż sędzia odgwizduje koniec. Ostateczny wynik 3:0 na moją korzyść. Publiczność z radości krzyczy, podrzuca czapki w górę... a ktoś, wyrzucił buciki — tu znowu fluszka bez piwa leci prosto we mnie...)

H. Harańczyk.

Humor „zakulisowy".

Stosunkowo dość dużo zabawnych przygód spotyka amatorski zespół sceniczny. I ten „nadprogramowy" humor nie jest bynajmniej przywilejem tylko zakładowych „artystów". — Znaleść go można wszędzie, gdzie tylko skrzypią deski sceny teatralnej. Trzeba go tylko wyszukać i wyciągnąć na światło dzienne, aby stał się radosnym promykiem słonecznym dla Przezacnych Czytelników.

Postaram się tu odsłonić kilka takich wypadków wesołych, a to w tej nadziei, że wnet odezwą się i inne pióra, rozlewając na łamach „N. Ż." radosny nastrój słonecznej młodości. Koledzy! Nie pozwólcie, by przysłowie: „Uderz w stół, a nożyce się odezwą", okazało ło się tym razem zawodnym. — Przysłowia są bowiem mądrością narodów.

*

Pamiętam... jak przed paru laty przygotowywano w Pawlikowicach na uroczystość 15 sierpnia sztukę p. t.: „Cud nad Wisłą". Scena została zbudowana na małym wzniesieniu w parku, na tle młodych świerków. Jak próby wykazały, prawdziwa „bitwa" miała się właśnie wśród nich odbyć. „Bolszewicy" zgóry byli skazani na przegraną, gdyż mimo poszukiwań, namów i obietnic „dyrektora" teatru, zwerbowano ich 5-ciu zaledwie. Polaków zaś było 20. Armia, jak na sceniczne stosunki, olbrzymia.

Wieczorem, gdy nadszedł ów historyczny i długo oczekiwany moment, rozgorzała zacięta

bitwa. Z ogromną wrzawą, przy huku ślepych wystrzałów, przepędzono nieprzyjaciela w sam kąt parku. Kilku „bolszewików", przyciśniętych do płotu, zdołało się uratować niesławną ucieczką. Lecz jeden nieborak nie zdążył przeleść płotu, przytrzymano go i dalej do ataku. Biedak bronił się jak lew, lecz w końcu upatrzywszy gdzieś wolniejsze miejsce, przedarł się jal Almanzor z Grenady i zmyliwszy pogonie, znikł w ciemnościach. Na drugi dzień opowiadał w jakich to był opałach, ale szczególnie to go smuciło, że musiał walczyć z Polakami jako „bolszewik"...

Podczas wspomnianej bitwy, dla dodania jej większego uroku strzelano z kalichlorku tuż koło sceny. Miało to naśladować huk armatek czy też pękających granatów. W pewnym momencie ranny ks. Skorupka miał być uniesiony na noszach polnych na scenę. Jeszcze dobrze się na nich nie ułożył, gdy któryś z zapalonych „puszkarzy" strzelił z większej paczki kalichlorku (niby z większej baterii) tuż nad jego uchem. Ksiądz, choć miał być ledwo żywy, skoczył na równe nogi. Nieoględny wojak, widząc co się święci, zniknął wśród świerków. Oszołomionego tą nieprzewidzianą kanonadą księdza, ledwie zdołał reżyser nakłonić do ułożenia się znów na noszach. Tymczasem podpowiadacz (suflerem też zwany) tracił już resztki cierpliwości nie mogąc się go dowołać. Lecz tu dopiero początek kawału. Bo ks. Skorupka miał jeszcze kilka słów przemówić przed śmiercią, ale strzał, który go ogłuszył, był tak skuteczny, że do cna zapomniał swą rolę. Podpowiadacza też nie słyszał (pewnie mu ciągle w uszach dzwoniło) — sytuacja stawała się ciężka. Lecz uratował sprawę któryś śmielszy wojak okrzykiem: „Ks. Skorupka umiera"! Dalej już wszystko poszło gładko, bo ksiądz rzeczywiście silnie westchnąwszy, zamknął oczy. Widzowie sądzili że tak miało być... (Winowajca jednak do dziś dnia się nie znalazł.)

Podczas innej znów sceny tej samej sztuki, jeden z poruczników tak się rozpalił do walki wręcz (nic dziwnego: miał najlepszą szabelkę), że w poszukiwaniu za wrogiem wpadł całkiem niespodziewanie na scenę i skoczył z szablą na rodzonego „dziadzia". Starowina zaskoczony w pierwszej chwili dzielnie się odcinał, aż nagle poznał ku swemu przerażeniu „wnuka" i krzyknął: „To ty Jurek przeciw mnie?! To podziałało na Jurka jak wiadro zimnej wody. Krzyknął coś niewyraźnie i w jednej chwili znalazł się za sceną. Czy widzowie się spostrzegli — chyba nie...

Innym razem grano sztukę z walki o niepodległość. Cała sala zabita była gośćmi. Ostatnia scena kończyła się pięknym żywym obrazem. W chwili, gdy wszyscy (nie wyłączając starego dziadzia) stanęli na baczność dla uczczenia Orła Białego, godła Zmartwychwstałej Polski, miała zapaść kurtyna. Tymczasem... Żywy obraz został oświetlony, podpowiadacz krzyczy: kurtyna! — a tu nic, kurtyna ani nie drgnęła. Czyżby się zacięła?

Wnet reżyser popędził do niej i cóż zastał? Pomocnik stał na baczność i salutował z aktorami... Tak się przejął! Ale scena się nie udała i biedak stracił „posadę“...

Jasełka zakładowe mają sławę na okolicę. Poważna scena z Herodem napełnia grozą i mrozi krew. Poprzedzany orszakiem dworzan i wojska, wchodzi okrutnik przy dźwięku fanfar w całym przepychu (na jaki go w zakładzie stać). Trębacze nieraz takie mają szczęście, że jeszcze nie przyłożą trąb (papierowych) do ust, a już grają (inni za sceną)... Heród wstępuje na tron i siada z wielką powagą. Lecz o zgrozo! Czyżby zamach?! Tron się wywraca, a król — okrutnik wywija tylko nogami w powietrzu. Dworzanie zdębieli, ale widzowie — bili brawo, aż im ręce puchły... Tymczasem Heród powstał z powagą i srogością w obliczu, a gdy drżący z przerażenia (pewnie prawdziwego) Marszałek dworu tron ustawił i to tym razem już na 4-rech nogach oparty na podwyższeniu, ostrożnie usiadł powtórnie i zaczął dalej swoje, jakby nigdy nic. Oczywiście godna podziwu zimna krew i to u takiego „okrutnika“... Innym razem, gdy miał występować, to szedł najpierw oglądać, czy tron silnie stoi. Tak to „nieszczęście“ uczy przezorności...

W. Z.

Migawki — Pawlikowice.

Ogólny stan niepewności i nastrojów wojennych panujący w obecnej dobie życia społeczeństw — jest znamienny wiekowi dwudziestemu. Nadmiar szalonego tempa gonitwy nowego człowieka za czymś nowym, niezliczone wynalazki dążące do coraz większego skomplikowania przejawów pracy — wszystko to wraz z warkiem śmigi lotnika, kłócącej spokój przestworzy, wraz z wyścigiem sił pary i elektryki — czyni człowieka zagadkowo potężnym a warsztat jego pracy wypełnia potwornym gwarem i rozmachem... mnie zaś napawa lękiem o... jutro!!!

Bo co uczyni ten demon postępu i wynalazków, siedzący w stalowej klatce przy kierownicy, wpatrzony w zegarki, trzymający palce na guziczkach machin elektrycznych... co uczyni gdy zapomni kiedyś czarodziejskich kluczy — puszczających w ruch maszyny.

Wtedy nastanie chyba koniec świata... łzy, rozpacz, ucieczka w natłoku... (żeby przynajmniej pogoda...).

A mówiłem: poco te wynalazki? czy nie lepiej byłoby popijać „liquor“ z potomkiem Zagłoby w miodosytni „pod Wiechą“?

...Albowiem rzeczy one straszne bliskie są! Nie dalej jak wczoraj zdarzył się u nas straszliwy wypadek. A poprzedziły go niezwykłe zjawiska na niebie i ziemi. W jasnej poświacie księżyca widniała podobizna

jakby złamanych grabi — po czym przeszła sobie w kształt damskiej parasolki. Zaś słońce wzeszło wbrew odwiecznym prawom nie na wschodzie lecz na północy, po czym opisało trzykrotny ruch w formie elipsy i ponad samym Zakładem przeleciało, kierując się na Mierniów. (Wedle zeznań Biedrawy). Nie mniej dziadek od dawna zdradzał zdenerwowanie i żył w dręczącym poczuciu jakiejś tragedii i — stało się!!! (tu oddajemy głos naszemu sprawozdawcy).

„... Coś jakby potężny wybuch dynamitu umieszczonego w piwnicach po-ariańskich ... Może podobne to było do huku podziemnego, jaki towarzyszy złowrogim pomrukom wulkanu — zaczynającego dymić — wkrótce cały zakład doznał charakterystycznego wstrząsu.

Oto na rogu linii „Myjacze" — „Kuchnia" pędził całą siłą pary Biedrawa (po miskę), zaś od strony szafy podążał z powagą, ale i stanowczością — Dziadek.

Moment spotkania nastąpił pod samym zegarem. Nie... moment tragedii. Bo Jasiek zdyszany, zmęczony ofiarną pracą, w pełnym galopie, w szlachetnym zapale podwieczorkowym — wpadł na Dziadka, idącego naprzeciw. — Jakiś głuchy pomruk... szczęk, trzask łamanych kości... krzyki zmieszane gniewu, trwogi:

— Zackoj, zackoj, dom jo ci.

— Dziadku, ja tak nie chcąco. Dalej już tylko jedna ruchoma masa przysłonięta tumanem kurzu i coś, jakby niesamowity, błyskawiczny młyniec laski Dziadka naokół spodni Biedrawy". (Tyle nasz sprawozdawca).

Winnym zdaje się być Biedrawa, gdyż biegł z niedozwoloną szybkością i nie ostrzegł Dziadka, że nadjeżdża — choćby okrzykiem „hop"!, „hop"!

Wprawdzie zakręt jest istotnie ostry, przy tym Jasiek ma krótki wzrok — nie jest to jednak dostatecznym materiałem uniewinniającym.

Po wypadku została mała szczelina (1.2 m) w posadzce i nadwyrężony narożnik.

* * *

Onegdaj zdarzył się nieszczęśliwy wypadek na skutek zbyt niskiej jazdy samolotu jednopłatowego typu „Bo-cian". Samolot ów krążył dłuższy czas nad okolicą najwidoczniej w celach strategiczno-terenowych, chcąc wylądować opodal, zawadził skrzydłem o antenę główną (w parku), powodując jej zerwanie i defekt w aparacie na pierwszym piętrze od parku. Nie pomogło zmontowanie anteny, nie dały wyników mozolne prace właściciela nad samym aparatem.

— Antena już gotowa — odważyłem się zbliżyć — powinno już odbierać.

— „Że co?"

— Powinniśmy już słuchać... powtarzam nie śmiało, zbity z tropu przenikliwym wzrokiem... czekając na nieodłączne: „że jak?", które jednak wbrew regule nie nastąpiło.

„Wszak" powinno — ale relator już nie dopisuje, akumulator słaby, prawdopodobnie „foeding" jest w powietrzu, ale „wszak" lampa zapasowa i wi-

brator winny mechanicznie pełnić rolę zastępczą.

Z uznaniem i niemym podziwem kiwałem głową nad każdym udoskonaleniem — a było jeszcze sporo: „amperów, woltomów, kaloryferów, wentylatorów etc.“.

Mutatis mutandis aparat do dziś nieczynny. Podczas gdy ja li tylko z maleńkim pudełkiem podziwiam codzień nieśmiertelne symfonie fortepianowe Polskiego Radia (środek nasenny) i wiem, że: „jutro będzie stała pogoda z przejściowymi opadami (tak!). W zachodniej części kraju chmury kłębiaste — kołtuniaste...“

Dowidzenia. *Groźny.*

Humor

W kościele św. Wawrzyńca w Norymbergii przechowuje się rachunek:

1) Za zrobienie nowego nosa jednemu z łotrów na krzyżu 2 złr 24c

2. Za wsadzenie zęba św. Piotrowi 1 złr. 30 c.

3) Za rozszerzenie nieba i za wsadzenie 8 nowych gwiazd 2 złr. 25 c.

4) Za przybicie nowych podków koniom u wozu Eliasza i za to że drogę do nieba wyraźniejszą zrobiłem 2 złr. 45 c.

5) Za posrebrzenie Judaszowi srebrników. 45 c.

6) Za „wypucowanie“ Piłata 1 zlr.

Norymbergia, 1 — II — 746 r.

J. Markarf (malarz)

Pielgrzym, Mazur, przyszedł do Rzymu, a nie wiedząc, że jest już w Rzymie, zapytał Włocha: Czy tędy do Zymu?

Non intendo — (nie rozumiem) odparł Włoch.

A chłop na to: kiedy nie tędy, to się wrócę...

I tak zrobił.

— Dlaczego odmówiwszy „Pod Twą obronę“ — modlimy się: „módl się za nami święta Boża Rodzicielko“?

— Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych.

W broszurce: Nabożeństwo do siedmiu Boleści Matki Boskiej, wydanej w 1848 r., we Lwowie, jest na drugiej kartce po tytułowej napis:

†
J. M. J.
Matko Bolesna
módl się za nami!

Za pozwoleniem zwierzchności duchownej

we Lwowie.

Kwadrat magiczny.

W powyższe 25 kwadracików kwadratu wpisać takie liczby, by suma ich w każdym kierunku wynosiła 800. *Edy.*

KRONIKA
ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Pawlikowice.

W pierwszą niedzielę czerwca została zaproszona drużyna harcerska wraz z orkiestrą do Wieliczki celem wzięcia udziału w uroczystości poświęcenia sztandaru I drużyny im T. Kościuszki. Po nabożeństwie i uroczystym poświęceniu sztandaru drużyny harcerskie przedefiladowały przed władzami harcerskimi i administracyjnymi. Uroczystości przedpołudniowe zakończone zostały akademią Podczas akademii zdarzył się przypadek, który wprawił w zakłopotanie organizatorów, a mianowicie, jako jeden z punktów programu było odegranie przez orkiestrę marsza, tymczasem publiczność myślała że to zakończenie akademii i poczęli tłumnie opuszczać salę (może upojeni grą orkiestry, i dopiero organizatorzy spostrzegli się gdy została na sali garstka gości i tryumfująca orkiestra. Na interwencję p. prof. Korpala publiczność powróciła na salę i akademia została zakończona bez przeszkód.

Po południu orkiestra w zmniejszonym składzie poszła do Gorzkowa, aby w czasie antraktów w przedstawieniu przygrywać. I sportowcy też nie próżnowali, gdyż „Victoria" rozegrała spotkanie w piłkę nożną pomiędzy „Józefitami" t. j. wychowankami Zakładu św. Józefa w Krakowie, która po pięknej grze zostało zakończone wynikiem remisowym 5:5.

16 czerwca został zakończony rok szkolny uroczystym nabożeństwem. Mszę św. odprawił ks. Dyrektor Skrzypkowiak, poprzedzając ją okolicznościowym przemówieniem. W dwa dni później została urządzona pożegnalna wieczornica, na której były wygłoszone humorystyczne monologi, śpiewy i deklamacje, które dały dużo humoru i zostały przyjęte z ogólnym uznaniem.

Za staraniem ks. Nierychlewskiego odbyła się wycieczka do Dob-



Pawlikowice. Na ruinach zamku w Dobczycach.

czyc. Wycieczka ta miała swój magnes, a mianowicie, drużyna nasza „Victoria“ miała do pomszczenia porażkę poniesioną przed czteroma laty. Sama wycieczka była bardzo udana dzięki zapobiegliwości ks. Nierychlewskiego, który starał się o wszelkie udogodnienia, bardzo nam życzliwych władz lokalnych. Po obiedzie daliśmy koncert na rynku dla miejscowej publiczności. Po krótkiej przerwie odbyły się zawody w piłkę nożną pomiędzy naszą „Victorią“ a miejscowym K. S. Strzelca. Tym razem przegraliśmy 7:2 z powodu nie przybycia czterech czołowych zawodników, których zastąpiono graczami rezerwowymi, którzy w krótce opadli na siłach wskutek czego powstały w drużynie luki, które sprytnie wykorzystywali gospodarze. Wśród ogólnego humoru i zadowolenia, którego nie przygnębiła porażka, wróciliśmy późnym wieczorem do domu. Kronikarz.

Miejsce Piastowe.

20 czerwca zapisał się głęboko w naszej pamięci. Ruch niezwykły panował od samego rana, wszędzie gwarno jak w ulu — z radości, że wyjeżdżamy do Jasła. Jedni się cieszyli nadzieją zobaczenia pięknego miasta, a ci „najstarsi“ (od dołu) nie posiadali się z radości na samą myśl jazdy koleją. Trzeba bowiem wiedzieć, że wielu z nich przybyło do zakładu albo na furmankach albo na autonogach, a pociągi widziało tylko z daleka.

Ks. Prefekt jednak miał co innego na myśli. Zebrał grupę śpiewaków, muzykantów, harcerzy, a także „krakowiaków“, aby przypomnieć Jasłu, że Zakład nasz nietylko istnieje, ale także potrzebuje wiele grosza na ciężki czas przednowku.

Wrażenia po tym kochanym mieście jeszcze żywo tkwią w naszych umysłach. Przyjęto nas owacyjnie i z całą serdecznością, nie szczędząc żadnych ofiar dla nas. Tą drogą najserdeczniej dziękujemy Przezacnym Dobrodziejom z Jasła, a przede wszystkim JWP. Lopatinorowej i JWP. Inż. Macudzińskiemu, którzy już około miesiąca przedtem starali się o załatwienie wszelkich formalności w Zarządzie miasta, o uzyskanie zezwoleń, a następnie o przygotowanie stadionu na występy itd. Jednym słowem tak nam wszystko troskliwie i z całą serdecznością przygotowali, nie szczędząc przytem zabiegów i kosztów, że po przyjeździe na miejsce czuliśmy się jak u siebie. Na tym miejscu składamy Im serdeczne staropolskie „Bóg zapłać“.

Sam występ harcerzy i krakowiaków, tudzież koncert orkiestry wypadły b. dobrze. Goście licznie zgromadzeni nagradzali młodocianych artystów gorącymi brawami. Przytem Przezacni nasi Dobrodzieje nie zapomnieli i o prawach naszych żołądków. Przygotowali nam obiad wspaniały, tak, że wielu nie wiedziało od czego posiłek rozpocząć. Przypomniał się znany wierszyk: „i to pachnie i to nęci“... Staropolska gościnność świeciła tryumfy, a myśmy z zapałem godnym podziwu brali wszelkie „przeszkody“, leżące przed nami. Wprawdzie harcerze nie mogli wykonać całego swego programu, gdyż rzęsisty deszcz późnym wieczorem zagasił im ognisko, lecz wszyscy z zadowoleniem opuszczali stadion, udając się na stację, gdzie trzeba było przez 2 godziny oczekiwać na przybycie pociągu, któryby nas odwiózł do domu.

Jednak i ten pobyt nie był monotonny dzięki pomysłowości i ochocie tak orkiestry, która wygrywała najpiękniejsze utwory swego repertuaru, a w międzyczasie harcerze wykonywali wesołe chóralne produkcje. Zarząd stacji oraz urzędnicy z prawdziwym żalem i serdecznością żegnali setkę zuchów, których czarny wąż, buchający snopami iskier powiózł w mroczną dal... ku domowi. W progi zakładowe wstąpiliśmy już po północy zmęczeni wprawdzie, lecz żwawi i weseli. Nazajutrz wszyscy świetnie się czuli — co jest najlepszym sprawdzianem udalej imprezy.

W inną znów niedzielę wyruszyła wycieczka do Lubatówki. Było to mocowanie się z wichrem, który w otwartym polu dobrze się nam dał we znaki, szczególnie wzbijając tumany kurzu (w domu nie był wiatr tak widoczny). Trudy podróży zo-

stały jednak sowicie nagrodzone ucztą jagodową w lesie.

W tym samym czasie odbywały się w domu zawody o srebrną P. O. S., w których wzięły udział drużyny strzeleckie z zakładu i okolicy. Mimo, iż nasi strzelcy prawie wszyscy byli na wycieczce, pierwszą nagrodę zdobył ich przedstawiciel choć mały wzrostem, lecz silny duchem (wytrwały). Odkryliśmy więc nowy talent sportowy.

a zwłaszcza koncert orkiestry dętej pod batutą p. kapelmistrza Wł. Rzeszowskiego, były nagradzane niemilknącą burzą oklasków. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że orkiestra nasza ostatnimi czasy wyrobiła sobie doskonałą opinię w okolicy i na to całkowicie zasłużyła.

Harcerze jeszcze na zakończenie stanąwszy zwartym kołem uraczyli gości miłym humorem, śpiewem itp. Wycieczka zakończyła się obustronnym zadowoleniem, bo i goście byli ubawieni i my wszyscy późnym wieczorem wróciliśmy na wozach do domu w różowym nastroju...



Miejsce Piastowe. Nasi harcerze.

Bardzo miłą niespodzianką był dla nas wyjazd do Krosna i Polanki w dniu 4 lipca. Przyjechaliśmy z miną b. gęstą, lecz wkrótce, gdy się okazało, że do parku miejskiego zagląda b. „rzadki" gość, miny nasze wybitnie zrzedły. Po wykonaniu popisów harcerzy i krakowiaka, przeplatanych koncertem orkiestry i kręceniem „beczki szczęścia" (niezbyt była szczęśliwa) — chór wykonał kilka pięknych utworów, a harcerze w towarzystwie orkiestry udali się do pobliskiej Polanki na uprzednie zaproszenie organizatorów, urządzających festyn na potrzeby kościoła miejscowego.

Pierwsze wrażenie z Polanki było wspaniałe. Park był specjalnie oświetlony, poszły w górę rakiety świetlne, publiczność przyjęła nas owacyjnie. Wszystkie występy czy to harcerzy, czy małych „krakusów",

Przyjazd kleryków na wakacje, jak zawsze, ożywił nieco wszystkie dziedziny życia zakładowego, a może najwięcej cieszą się nasze stowarzyszenia (a raczej prezesi) nadzieją odczytów i pogadanek. Jak dotychczas się nie zawiedli — na pomoc chętną zawsze mogą liczyć.

Dnia 7 lipca rozpoczęły się żniwa. Sześciu doświadczonych w boju „kosynierów" wyruszyło na podbój Łysej góry. Oczywiście, że jeszcze bardziej wyłysiała, gdy energiczne i rytmiczne uderzenia kos powaliły jej ostatnie owłosienie. Wnet przyszła kolej na „szerokie" i inne ćwierci, praca posuwała się wartko tak, że nasz kochany „Wujek" (ekonom) nie mógł nadążyć w doglądaniu pracy.

Starość nie radość. Niestety — pogoda nam się jakoś zepsuła i trudno będzie żytko z pola zebrać, jeśli upusty niebieskie wnet się nie zamkną. Prośba niebiosa przebija, więc śpiewamy „Królu Boże"... (najmniejsi czasem śpiewają: „użycz nam deszczu"... z przyzwyczajenia).

Drzewa owocowe w tym roku ładnie obrodziły i kusząco się uśmiechają do niektórych, zwłaszcza, którzy niepomni na zakazy próbują jeszcze zielonego owocu... Jakoś od czasu wypędzenia z raju owoc zakazany lepiej smakuje! Uderzajcie się w piersi winowajcy zawczasu, aby później Ks. Prefekt nie był zmuszony uderzyć czasem gdzieindziej. Tą dobrą radą kończę.

Kronikarz

Odpowiedzi Redakcji.

Przew. Ksiądz Sławiński. Jak najserdeczniej dziękujemy za nadesłane artykuły, oraz za miły list. Prosimy nadal o pamięć i to o ile możności więcej... czynną!

W. P. i A W. Również dziękujemy za sympatyczne artykuliki i z przyjemnością konstatujemy, iż zyskaliśmy w Was stałych współpracowników — co nas niezmiernie cieszy. Ambicją naszą winno się stać, by wszystko co „Nasze" dążyło do coraz lepszych wyników — by z pożytkiem spełniało zadanie.

J. Leśnik (Pawlikowice). Prozę jeszcze można skorygować — lecz nie poezję. Według zasad pisarskich, trudno zmieniać myśli poety, które są jego wyłączną własnością (często jedyną), tym bardziej, gdy cały wiersz wymaga zastąpienia... innym.

„...objęcia... dziecięcia",
„...dziecinny... inny".

którymi kończysz wzloty umysłu i serca — to nie wszystko... mile widziane są takie drobne dodatki: forma, myśl i rytm.

Wygwizdalski. Nie jest szlachetnie naśmiewać się z cudzych nazwisk — lecz tym razem cudowny wybrałeś pseudonim, który zarazem skreśli pokrótce sposób załatwiania się z Twym artykułem: — „Wygwizdano go!"

„Sodalis Mariański" organ polskiego Seminarium w Ameryce (Orchard Lake!) wykazuje głębokie zainteresowanie naszym pismem N. Ż.

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materiały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr.
Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.